№ 44. Warszawa, dnia 22 Października (3 Listopada) 1888 roku.



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60 kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie, rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

MIRABEAU.

Miłość rodzicielska dla dzieci zdaje się być tak naturalną rzeczą, że o brak jej zupełny oskarżać np. ojca zdaje się być niepodobieństwem. A jednak jeżeli są dzieci złe, bywają i ojcowie tak niedobrzy, że i dziwią twardością serca i wstręt dla siebie obudzają.

O takim ojcu sławnego rewolucyonisty Mirabeau, człowieka pełnego zdolności i wymowy, jeden z dzienników francuzkich podaje acz smutne ale zajmujące szczegóły:

Historya, powiada ów dziennik, daje nam niewiele przykładów takiej nienawiści ojca dla syna, jaką był przejęty stary margrabia Mirabeau względem syna swego Gabryela Honoryusza. Od kolebki widok syna był mu wstrętnym. „Siostrzeniec twój — pisze on do brata — brzydki jest jak sam szatan." Następnie, gdy chłopiec nieco podrósł, widok jego tak mu jest wstrętny, że „chciałby utopić w pierwszej napotkanej rzece tego istnego Poliszynela, co zdaje się być od stóp do głowy jedną obrzydliwą naroślą.

Chłopiec wyrasta na młodzieńca; pierwsze jego wybryki karcone są batem. Mirabeau (syn) wstępuje do pułków margrabiego Lambert. Wkrótce potem, wciągnięty przez kolegów, przegrawszy w karty 40 luidorów, ucieka do Paryża. Tu zaczyna się prześladowanie margrabiego, nieubłagane, zacięte.

Więzienie tylko, według jego zdania, jest dostateczną karą za podobne przestępstwo. Odtąd wpakowanie syna do celi więziennej staje się u niego rodzajem manii. Zamknięty w cytadeli na wyspie Ré, młody Mirabeau opuszcza ją aby wziąć udział w kampanii korsykańskiej. Margrabia ojciec posyła mu złowieszcze przepowiednie:

„Puścisz się na morze — pisze mu — oby Bóg miłosierny sprawił, żebyś nie żeglował po niem długo!"

Lecz to ojcowskie życzenie nie spełnia się. Przeciwnie, młody oficer odznacza się w Korsyce przez swój zapał i zdolności; zyskuje tam uznanie swych naczelników i przyjaźń towarzyszów. Za powrotem do Francyi, bawiąc przez kilka dni u swego stryja, umie go sobie zjednać.

„Strzeż się — pisze do niego stary margrabia — strzeż się tego złoconego dzióbka. Ha! zresztą może sobie pozyskać stryja, lecz ojca nie będzie miał nigdy za sobą."

Na chwilę jednak stosunki te łagodzą się. Margrabia przedstawia nawet syna u dworu.

„Ten chłopak — pisze on — wszędzie czuje się jak u siebie. Co za dworskość w obejściu! Od lat już pięciuset żaden Mirabeau nie był podobny do ludzi, darowywano im to jednak u dworu; muszą więc znieść i tego, który nie ustępuje swoim przodkom."

Lecz pojednanie to trwa krótko. Młody człowiek żeni się; poślubia dziedziczkę, bogatą jedynie w sperandy.

„Udzielam wam — pisze przed ślubem margrabia — moje błogosławieństwo i wiele innych równie pięknych rzeczy, ale nic nad to."

Skąpstwo było główną cechą charakteru starego margrabiego. Mirabeau zaciąga długi, aby opędzić potrzeby domowe. Ojciec, dowiedziawszy się o tem, uzyskuje pozwolenie na aresztowanie go i osadzenie w małem mieścinie Manosque. Tam niejaki wice hrabia de Moans znieważa siostrę w miejscu publicznem. Mirabeau wyzywa go na pojedynek, a gdy ten bić się nie chce, wymierza mu policzek. Zamiast pochwalić taką miłość braterską, margrabia każe zamknąć syna w pałacu If, za burdy uliczne. Ztamtąd przenoszą go wkrótce do miasteczka Pontarlies, gdzie poznaje Zofię Monnier, poślubioną w siedmnastym roku życia siedmdziesięcioletniemu starcowi.

Między dwojgiem młodych ludzi zawiązuje się stosunek miłosny, wreszcie Mirabeau wykrada swoją kochankę i uwozi ją do Amsterdamu. Wtedy nienawiść starego margrabiego wybucha w pełni. Chciwy i skąpy, sypie pieniędzmi gdy chodzi o wytropienie zbiegów; otacza ich szpiegami, przepłaca policyę, nie tai się już nawet, że gorąco pragnie śmierci syna.

„Chciałbym wydać tego nędznika w ręce Holen-

drów, aby go wysłali do swych kolonii. Ztamtąd by już nie wrócił."

Lecz, że się to nie udaje, marzy o wrzuceniu go do tajemnych lochów, tak aby „nikt — pisze — oprócz władzy i mnie nie wiedział, gdzie się znajduje." Okrucieństwo swe i nienawiść przyobleka jakby w rzymską draperyę.

„Wiem — skarży się — że mnie mają za nowoczesnego Nerona, że kobiety chciałyby, abym zginął jak Orfeusz, a adwokaci, bym znikł jak Romulus; lecz mi to wszystko jedno. Będę Radamantesem, skoro Bóg wyznaczył mi taką rolę."

Tymczasem Mirabeau siedzi zamknięty w twierdzy w Vincennes; pozostaje tam przez lat trzy i pół, miotany wściekłością, żalem i wspomnieniami, pisując do Zofii listy miłosne, do ojca pełne skarg i zaklęć, które zdolne byłyby zmiękczyć nietylko Radamantesa, lecz nawet furye i Cerbera. Lecz nieubłagany starzec nie słucha ich nawet.

„Wymierzyłem sprawiedliwość — pisze — jako trybunał wyznaczony od natury; choćbym widział matkę na rusztowaniu, syna w więzieniu, szedłbym dalej z podniesioną głową na nic nie zważając."

Wreszcie władza bierze stronę więźnia; policya znajduje, że ojciec zaczyna nadużywać wydanego sobie pozwolenia. Ostrzega go, że syn cierpi na krwotoki, że powietrze więzienne jest dlań zabójcze.

„Jeśli pan hrabia życzy sobie wysączyć wszystką krew, jaką ma w żyłach, pozostaje mi tylko powiedzieć mu: „na zdrowie", lecz zamkniętym być musi i basta."

Zdecydował się wreszcie wywieść go z Vincennes, tylko w nadziei zbliżenia go do żony... Wnuk jego umarł właśnie i dumny starzec bał się, aby na nim nie wygasł ród jego. Lecz nienawiść margrabiego nie zmniejszyła się; dotrwała ona do grobu. Usprawiedliwić ją można chyba tylko tem, że ojciec miał niejako przeczucie, czem stanie się syn jego; że stary arystokrata czuł, iż wydał na świat trybuna. Wcielony w niego feodalizm wzdrygał się na Rewolucyę, którą stworzył w osobie syna swego.

PROŚBA.

Patrz drży gondola na sinym brzegu,
Płyń ze mną dziewczę w tę jasną dal,
Będę cię pieścił, będę kołysał,
Nucił piosenki wśród cichych fal.

* * *

Noc tchnie ponętą płyńmy w dal płyńmy,
Tam jakoś sercu oddychać lżej,
Myślą w przestworach bez końca gińmy,
Płyń ze mną dziewczę wysłuchać chciej.

* * *

Chciałbym tak z tobą w świat Boży płynąć,
Gdzie żadnych smutków nie ściga moc,
I w pocałunków twych zdroju ginąć,
Zatrzymać w biegu tę cudną noc.

* * *

Gdybym mógł z nieba zdjąć tych gwiazd roje,
Splótłbym z nich dyadem na twoją skroń,
Słońca bym promień wpiął w sploty twoje,
I wiecznej wiosny majową woń.

* * *

Na płaszcz dla ciebie zorzę różową,
A na sukienki rąbek ze mgły,
I przez wiek cały z tobą królowo,
Śniłbym czarowne i słodkie sny.

Marya Chluska.

PRZESILENIE.

PRZEZ

Maryę Napierałską.

(Dalszy ciąg.)

Mnie kto inny w sercu i myśli... Rok temu przyrzekał, że będę dla niego jedyna na świecie, a teraz, ah! teraz, jak mogę iść do kościoła z Kubą. Wszystko we mnie rwie się do Antka, tylko do Antka. Darmo przecie obiecał ojcom, że pójdzie szukać roboty, ażeby mnie wziąć już na zawsze. Oni radziby Kubę mieć za zięcia.

Łzy zaświeciły w oczach dziewczęcia.

— I ciebie nie nęci bogactwo, życie bez kłopotów, ładne suknie, korale? — zapytałam zdziwiona tem bezmiernem uczuciem w sercu prostej wieśniaczki.

— Suknie, korale! — zawołała. — Co mi one znaczą bez Antka? Może, gdyby nie wrócił z wojska, nie spojrzał po dawnemu, nie zagadał, przysięgłabym Kubie, ale dziś... tak jak się stało...

— Więc nie chcesz Kuby? — zapytałam.

— O! złocista pani, młoda i śliczna jak anioł, musi wiedzieć, co to znaczy kochanie?

Marychna nie domyślała się nawet wrażenia wywartego swemi słowami. Jakby zaklęciem wywołane, stanęło w myśli „złocistej pani" wspomnienie innego Antka, ale ten nie był podobny do tego, który kochał Marychnę. W tym razie wieśniaczka była szczęśliwszą. Ona posiadała wzajemność.

— Gdyby znalazł się taki na świecie, coby wybawił mnie od Kuby, tobym codziennie modliła się za niego. Niechby ojcom przełożył, że oddają mnie na stracenie, bo ja zgubię chyba swoją duszę, wszystko zgubię, kiedy mam nie mieć Antka za męża.

Sierp wypadł z rąk biedaczki, dłonie się załamały, a po smutnej, opalonej twarzy lały się łzy serdecznego żalu.

Widok ten poruszył mnie do głębi. Rzeczywiście, jeden nieopatrzny krok, mógł tę dziewczynę sprowadzić z drogi obowiązku, mógł ją i drugich narazić na nieszczęście. Przyczyny podobnych następstw nie były mi obce. Postanowiłam zatem starać się nie dopuścić żadną miarą do zawarcia tego związku.

— Chcesz-że, abym ci wyrobiła u twych rodziców pozwolenie zerwania z narzeczonym?

— Czy ja chcę? Droga paniusiu, tożby ci Bóg za to nagrodził.

— Jeżeli tylko z przyczyny ubóstwa chcą cię poświęcić na ofiarę bogatego zamążpójścia, w takim razie postaram się zaradzić ich biedzie. Będziesz mogła czekać na Antka.

— O! niech ci za to spłyną wszystkie łaski niebios, niech cię mąż kocha więcej jeszcze niż kochał, miej wszystko czego potrzebujesz — mówiła Marysia z wybuchem szalonej radości.

Tego samego dnia opowiedziałam całą historyę Sokołowi. Słuchał z uwagą nie pojmując najpierw celu tego opowiadania, które mnie ożywiło niezwykle.

— Chciałabym pana prosić o coś, ale obawa niewysłuchania mej prośby wstrzymuje zapędy.

— Pierwsza prośba pani bez kwestyi spełnioną będzie — odrzekł mąż ze zwykłą grzecznością.

— Czy nie możnaby przekonać rodziców Maryni o niemożebności tego związku? Dziewczyna nie kocha narzeczonego, nie powinna zatem być jego żoną.

— Pani uznaje całą niewłaściwość podobnego małżeństwa?

— Uznaję ze względu na przyszłość, mogącą wywołać najfatalniejsze następstwa.

— Ale Kuba bardzo sprzyja Marysi — wtrącił Sokoł.

— Cóż to znaczy? Wzajemność w uczuciach tworzy podwalinę szczęścia, ale jeśli serce bije tylko do Antka, czyż życie w takich warunkach byłoby choć znośne?

— Takie jest zdanie pani? Chcesz powiedzieć że tylko z miłością dla innego, niepodobieństwem staje się podział wszystkiego z mężczyzną, godnym nawet sympatyi. Tylko ta, która poświęciła innemu swoje myśli, nie może zgodzić się z losem nienajgorszym przecież. Kobieta niekochająca nikogo, przywiąże się zwolna do męża, gdyby ten nawet był jej obojętnym przed ślubem, ale żywiąc w duszy namiętność dla oddalonego od niej, musi pozostać zimną. Tak właśnie stałoby się z Marysią. Gdyby nie było Antka, Kuba byłby dobry.

Każde słowo mogło być oskarżeniem mnie samej, bo wszak to ja właśnie zawiniłam w ten sposób. Lecz czyż mąż mój domyślał się, że wybrana jego kochała? O! za żadną cenę, za nic w świecie nie powinnam mniemać nawet o cieniu czegoś podobnego. To jedno przedstawiłoby mnie w najgorszem świetle, okryło pogardą w oczach jego, bo czyż Sokoł zasłużył na taki postępek z mej strony? Należało więc wszelkiemi siłami unikać najlżejszych pozorów w tym względzie.

— O! — zawołałam żywo — nie jestem doświadczona na pewnym punkcie poruszanym w rozumowaniu pana, wiem jednak tyle, że Marysia nie powinna łączyć swej doli z drugą dolą, wbrew skłonności.

— Przyznaję to pani. Mężczyzna niekochany przez żonę, musi być...

I Sokoł urwał nagle zdanie, jakby dziwiąc się własnej śmiałości w wypowiedzeniu kilku dwuznacznych wyrazów.

— Chociaż z drugiej strony—zaczął na nowo — pojmuję całe zmartwienie Kuby po odmowie ukochanej. My pamiętamy zwykle dłużej niż kobiety.

— Tak pan przypuszcza — ozwałam się z udaną żartobliwością. — Jednak Marychna nie zapomniała Antka. Ostatecznie głównym bodźcem do wydania jej za Kubę, stanowi bieda jej rodziców. Gdyby więc można dopomódz tym ludziom

i okupić swobodę dziewczyny. Ostatnia krowa zdechła im niedawno, a u ludu jest to tyle prawie co u nas np. stracić wioskę. Czy zatem mam prawo rozporządzić się dowolnie? Cały mój posag znajduje się w ręku pana. Odwołuję się więc do niego w tej kwestyi.

— Ależ majątek pani pozostanie na zawsze, wyłączną, wyraźnie wyłączną jej własnością. Bierz pani z niego, ile chcesz, moja osoba jest tu najzupełniej zbyteczną.

— Przypuszczałam, że wiek mój pod żadnym pozorem nie upoważnia mnie do osobistych postanowień tego rodzaju. Pozwoliłeś mi pan zawsze szukać rady u siebie w razie potrzeby. Nadto, możebyś pan był tak dobry i zajął się udzieleniem wiadomej pomocy.

Smętny jakiś uśmiech igrał na wargach mego męża. Mama miała słuszność. On zbladł, zeszczuplał, zmienił się jakoś.

— Jak ty odważyłaś się prosić tego człowieka o cokolwiek, ty, która w zamian nic mu nie dajesz— zaszeptało mi w tej chwili sumienie.

— Wszystko, co było ci ofiarowane przez niego, podeptałaś ze wzgardą, a gdyby on teraz z kolei odmówił ci? — badał dalej głos sprawiedliwości.

— Czemże się stajesz wobec niego?

— Zajmę się natychmiast tą sprawą — powiedział Sokol, a ja zawstydzona, upokorzona, bez słowa podziękowania wybiegłam z pokoju jak strzała.

Nazajutrz, Marysia przyszła mi dziękować.

— Proszę wielmożnej pani — mówiła na ostatku — jaki ten dziedzic dobry. Gadał długo z ojcami, żartował do mnie i Antka, a teraz to mi się już zdaje, jakobym na świat przyszła na nowo.

Po tysiącznych podziękowaniach, oddaliła się w podskokach.

Upłynęło kilka tygodni dostatecznych do przekonania mnie o moralnej wzniosłości mego męża. Powszechny szacunek, jakim go otaczano, nieskazitelna uczciwość, najlepsze imię u sąsiadów, miłość u ludu, niezmęczona pracowitość, zdawały się przemawiać do mnie.

— Patrz! jaki on światły, dobry, szlachetny!

Zdarzały się rozmaite drobne napozór fakta, malujące przecież charakter Sokoła dosadnie, uderzające mnie w oczy mimowoli. O ile Witalis przykuwał do siebie od pierwszego spojrzenia, o tyle Sokol zyskiwał przy bliższem poznaniu dopiero. Ah! ale tamten był taki piękny, taki piękny! Zbliżał się dzień, w jakim przyrzekłam odwiedzić Wólkę. Najpierw odbyło się w Jedlinie huczne okrężne, na jakiem wystąpiłam w kostyumie wieśniaczki. Ochoczo szły tany. Młodzi parobcy ośmieleni moją swobodą, porywali mnie na wyścigi do szalonego oberka. Sokol tańczył także z dziewczętami a najwięcej z Marychną. W tem licznem kole poczciwych wieśniaków, był niezwykle wesoły, rozmowny, śmiejący. Do mnie jednej przecież nie zbliżał się wcale, nie spojrzał ani razu. Nagle, przyszedł mi kaprys wybrać go w mazurze do młynka. Rozgrzana ogólną radością, wyciągnęłam doń rękę.

— Przepraszam panią — wycedził zimno. — Taniec nie mieścił się w naszych *pactach conventach*. Każda zabawa powinna jednoczyć wszystkich, a czyż między nami może być mowa o zjednoczeniu?

Wyciągnięte ręce opadły mi na dół. Zmierzyłam go jednem tylko spojrzeniem, w jakiem musiało zawierać się całe oburzenie. On śmiał sprzeciwić się. Moja miłość własna została srodze ukaraną, a jednak, gdyby przyjął zaproszenie, byłabym go puściła po kilku obrotach. Dopiero ten zawód dał mi uczuć całą niestosowność poprzedniego żądania. Był to wyskok roztrzepanej dziewczyny. Zanadto uniosła mnie wiejska uciecha, zanadto pozwoliłam się porwać prądowi młodości. Odepchnięty mąż mógł rzucić mi w oczy słowa: „Chcesz zbliżyć się do mnie". Oh! raczej wszystko, niż podobne podejrzenie.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

TEATR.

Dwie damy, komedya Ferrari'ego, przedstawiona po raz pierwszy w Teatrze Rozmaitości, dnia 14 Października roku bieżącego na benefis pani Rakiewiczowej.

Repertuar sztuk tłomaczonych jest tak u nas ograniczony, iż na scenie małej przywykliśmy widzieć przeważnie umiejscowione farsy niemieckie, na większej zaś, królują niepodzielnie francuzcy mistrze dyalogu i dowcipu. Z mikroskopem i skalpelem w ręku, rozbierają oni drobne lub większe skazy, czerniące cześć niewieścią i honor mężczyzny; roztrząsają wszystkie pierwiastki zdrady małżeńskiej, wypalają bez miłosierdzia gangrenę, jaka, sądząc po rozprawach tych i jaskrawych obrazach, musi toczyć społeczeństwo francuzkie. Wstrętne a niewyczerpane *trio*, łamiące spokój domowego ogniska, losy kobiety upadłej, rehabilitacya jej lub kara, oto tematy, które przeżuwamy codziennie w artystycznej wprawdzie, ale niemniej głęboki niesmak pozostawiającej przyprawie, takich mistrzów słowa jak Augier, Dumas, Sardou, Pailleron i inni.

Jednostronność ta francuzkich dramaturgów razi tem więcej, że jeżeli kto, to oni mają pole i prawo do poruszania wszelkich przedmiotów, wstrząsających duszą widza za pomocą innych, szlachetniejszych sprężyn; tymczasem zrzekając się podnioślejszych obrazów, usiłują go odurzyć jedynie, widokiem ran i zgnilizny, które zamiast wstręt budzić, przyzuczają stopniowo publiczność, do tej szpitalnej atmosfery w dziedzinie serca, ducha i honoru.

Czy takim jest cel francuzkich autorów, wątpimy. Nie opierając się też na aforyzmie, iż każdy naród posiada literaturę na jaką sam zasłużył, wolimy mniemać, że te nieustające zdrady małżeńskie i wiecznie cuchnąca kałuża moralna, to nie obraz społeczeństwa nadsekwańskiego, lecz tylko wynik wady wzrokowej autorów, rodzaju daltonizmu, który nie pozwala im jaśniejszych barw w otoczeniu swem widzieć.

Daltonizm podobny, dla nas tem zgubniejszym się staje, iż posiadając wyrafinowane zepsucie paryzkie w formie ponętnej, przyucza do niego podniebienie i kazi smak, który raz do tej lekkiej, silnie papryką zaprawnej strawy przywyknąwszy, nie znajduje już później przyjemności w sztuce mniej pieprznej a poważnej, bo stępione nerwy, nie są w stanie odczuć wzruszeń podniosłego dramatu, nie pojmą grozy tragicznej, ni poezyi czystego uczucia.

Ujrzawszy też na różowym afiszu, nie francuzkie już, a włoskie nazwisko, poczuliśmy żywą wdzięczność dla zasłużonej artystki, pani Rakiewiczowej, która święcąc trzydziestoletni jubileusz sumiennej i inteligentnej pracy scenicznej, *Dwie damy* na benefisowy swój wybrała poranek.

Jak publiczność pracę tę oceniła, świadczyły gorące oklaski, wieńce i laury, któremi zasypano artystkę, odtwarzającą z szlachetnym ogniem i zapałem trudną rolę margrabiny. Czy jednak autor sędziwy, głośny oddawna we Włoszech, a nieznany dotąd u nas, przyniósł nam nową myśl jakąś w swej sztuce, na to, niestety nie możemy dać zadawalniającej odpowiedzi.

Wpływ współczesnej dramaturgii francuzkiej, tak żywo odbija się w utworze Ferrarego, iż *Dwie damy* stanowią tylko młodszą siostrę *Dyonizy*, *Dory*, *Damy kameliowej* i całego szeregu tego rodzaju utworów. Autor podnosząc kwestyę rehabilitacyi kobiety upadłej, przeprowadza tezę swą w sposób niejasny i nieścisły; bo podczas, gdy słowami jednej z takich kobiet właśnie, zamyka im drogę do ogniska rodzinnego, do spokoju, uczciwości i ludzkiego szacunku, równocześnie każe głównej bohaterce komedyi ze sfer tych również wyszłej, być najwzorowszą matką i żoną, istotą na piedestale widocznie przezeń stawianą. Skąd więc ta dwoistość?

Margrabia Permanzo, wyrywając z londyńskiego błota młodą dziewczynę, żeni się z nią. Towarzystwo włoskie jednak, niezadowolone z podobnego w arystokratycznych kółkach nabytku, przyjmuje tak zimno jego małżonkę, iż ta, przez lat dwadzieścia zamyka się w cichem kółku domowem i poświęca się wychowaniu dzieci jedynie. Z chwilą podniesienia kurtyny, dzieci te już są dorosłe. O córkę jej stara się Leopold, spadkobierca książęcej fortuny i tytułu; syn zaś Wiktor, jako marynarz buja na morzu. Małżeństwo margrabianki i Leopolda, w połowie ułożone, czeka tylko na zezwolenie stryja jego, księcia, starego, zakutego arystokraty, który w celu oświadczenia spadkobiercy swego i synowca, zjeżdża właśnie z Mantui i trafia na bal u bratowej margrabiny. Tu wśród wiru zabawy, zawistni oświecają starą, arystokratyczną mumię o pochodzeniu przyszłej teściowej Leopolda, a książę oburzony, grozi wydziedziczeniem, w razie gdyby synowiec jego ośmielił się poślubić córkę podobnej kobiety.

Na dobitkę złego, syn margrabiny Wiktor, wraca niespodzianie, przywożąc z sobą uratowaną z rozbicia gwiazdę półświatka, której zamierza ofiarować majątek swój i nazwisko. Druga ta porażka w ambitnych dla dzieci projektach, staje się straszną dla jego matki. W scenie wspaniałej, przepysznie przez benefisantkę odegranej, margrabina chcąc powstrzymać syna od podobnego ożenienia, upokarza się przed własnem dzieckiem, a wyspowiadawszy się z całej ohydnej swej przeszłości, wykazuje mu tortury jakie znosić musiała i niedolę, jaką związki podobne pociągają za sobą. Ją ocaliła gorąca miłość dla dzieci i wysokie poczucie obowiązku; co stanie się jednak, jeżeli „ta pana" nie będzie posiadać tyle hartu i mocy, a odpychana przez świat, popadnie w dawne błędy i niesławą dom jego okryje?

Przekonany, wzruszony, Wiktor klęka przed matką, oddając jej cześć za 20 lat cichego męczeństwa, a Emmę Stuart, dotychczasową swą narzeczoną wypędza sromotnie z progów ojczystego domu. Stary książę, który rozmowę całą słyszał za portyerą, przekonany o szlachetności margrabiny, decyduje się równocześnie na związek z krwią

mniej błękitną i prosi o rękę córki jej dla Leopolda.

Wśród dramatycznego natężenia akcyi, wśród wspaniałych, z ogniem wypowiadanych monologów, teza na razie olśniewa widza. Z chwilą jednak, gdy miną akcesorya sceniczne i pryśnie ułuda żywego słowa w doskonałą grę zaklętego, pytamy się mimowoli czego autor chciał? Bo, albo wierzy tylko w niepokalane, a w takim razie nie powinien nam, jako ideału matki i żony, jako wzoru dystynkcyi i szlachetności, przedstawiać kobiety z błota wyciągniętej, albo ufa w możność rehabilitacyi, a wtedy nie ma prawa wszystkiem drogi do niej odmawiać, spychając je w przepaść pogardy i występku.

Taka dobra Emma Stuart, jak dobrą była w swoim czasie margrabina. Praca, uczciwość i sumienne spełnianie obowiązku, dla każdego dostępne być powinny. Gdy więc zbłąkana chce wrócić do tych jedynych probierzy szacunku, a autor tej miary co Ferrari, każe nam ją w dawną spychać otchłań, a spychać ręką towarzyszki wspólnego wstydu i wspólnej niedoli, to chyba chce dowieść, iż hypokryzya jest według niego, jednym z podstawowych i obowiązujących czynników duszy ludzkiej.

Dwie damy zostały u nas przez głównych swych przedstawicieli z koncertowem wykonane mistrzowstwem. Pani Rakiewiczowa przypominała najszczęśliwsze chwile karyery swej scenicznej. Pan Leszczyński zaś, stworzył z roli starego arystokraty typ nieporównany. Przychodzi też jedynie żałować, iż pomijając zapał publiczności i zasługi porywających grą swą artystów, nieopatrzna a bardzo młoda widocznie klaka, upierała się inne wywoływać nazwisko.

An. Krz.

WOLA.

PRZEZ

JERZEGO OHNET'A.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

Lereboulley westchnął i w milczeniu powrócił razem z Dianną do salonu. Z twarzy młodej kobiety znikł już wszelki ślad przebytych wrażeń; ze zręcznością godną prawdziwej aktorki, rozpogodziła lica i powabnym przyozdobiła je uśmiechem.

Tak więc pani Olifaunt zwycięzko wyszła z niebezpiecznej próby, ale z biedną Heleną stało się zupełnie inaczej. Ludwikowi ani przez myśl nie przeszło jaka przykra scena miała miejsce przed chwilą. Helena włożywszy płaszczyk i koronkową na głowę zarzutkę, wtuliła się w kąt powozu, niezdolna przemówić ani słowa. Gorączka paliła jej usta a całem ciałem silne wstrząsały dreszcie. Każde stuknięcie powozu sprawiało jej nieznośny ból głowy a przed oczami ogniste przelatywały płatki. Droga, która trwała może kwadrans wydała jej się długą jak wieczność. Ludwik zaniepokojony milczeniem żony, spoglądał na nią co chwila, wreszcie nie mogąc znieść dłużej ogarniającej go niepewności, spytał:

— Czy jesteś cierpiącą, Heleno? Powiedz co ci jest?

Wysiłkiem woli Helena zmusiła się do odpowiedzi i wyrzekła głuchym bezdźwięcznym głosem:

— Nic mi, jestem zdrowa.

Pomimo tego zapewnienia, gdy powóz zatrzymał się przed gankiem pałacowym, Helena postąpiwszy kilka kroków zachwiała się na nogach i była zmuszoną wesprzyć się o marmurową kolumnę podpierającą ganek. Ludwik przestraszony pochwycił ją w objęcia i unosząc lekko jak dziecię, zaniósł aż na pierwsze piętro. Dowlókłszy się do swego pokoju zdjęła koronkową chusteczkę osłaniającą jej głowę i Ludwik teraz dopiero zobaczył jej twarz pobladłą i zmienioną cierpieniem i dostrzegł, że drżała jak w febrze.

— Na Boga! co ci się stało? — zawołał z najżywszą trwogą. — Heleno, powiedz... ty cierpisz?...

— Trochę...

A gdy Ludwik sięgał już po taśmę od dzwonka, Helena powstrzymała go mówiąc:

— Nie budź służby... Zawołaj tylko babci.

Ludwik pobiegł co tchu i w kilka minut później starsza pani Hérault znajdowała się już obok młodej kobiety. Ludwik cichutko wysunął się z pokoju. Wtedy babcia dopomogła Helenie rozebrać się i położyć w łóżko. A gdy pomimo ciepłej kołdry i gorących na twarzy wypieków, Helena drżała ciągle, babcia zajęła się przygotowaniem jakichś ciepłych, uspakajających ziółek. Cicho i zręcznie staruszka krzątała się po pokoju, bacząc na każde poruszenie chorej. Następnie zajrzała do pokoju dziecięcia a przekonawszy się, że śpi spokojnie, wróciła mówiąc do Heleny:

— Mały Piotruś śpi doskonale, możesz być zupełnie spokojną. Jeśliby się obudził dam mu się napić ciepłego mleka i wszystko będzie dobrze.

Młoda matka uśmiechnęła się smutno i szepnęła:

— Dziękuję ci babciu, jesteś taka dla mnie dobra.

W tej chwili wszedł do pokoju Ludwik i zdawało się, że chce czuwać całą noc; lecz babcia z przenikliwością właściwą kobietom odgadła co działo się w sercu młodej kobiety i stanowczo oświadczyła wnukowi, że obecność jego bynajmniej nie jest potrzebną i że ona sama da sobie radę i żadnej nie wymaga pomocy.

— Idź spać, mój chłopcze — dodała jeszcze, widząc wahanie Ludwika. — Ja będę czuwać do rana... starzy ludwie niewiele snu potrzebują.

A gdy Ludwik upierał się jeszcze przy swojem, staruszka jednem przekonała go słowem:

— Twoja żona życzy sobie tego.

Ludwik w milczeniu przysunął się do Heleny i ujął jej rękę, która była gorąca jak ogień. Dziwny ból ścisnął go za serce, pochylił się i dotknął z lekka ustami rozpalonego czoła żony. Pragnął ją zapytać o przyczynę cierpienia lecz nie śmiał tego uczynić, przeczuwał w tem wszystkiem mściwą rękę Dianny. Uporczywe milczenie jakiem Helena zbywała jego zapytania i życzenie pozostania sam na sam z babcią, objaśniały go dostatecznie, iż zdarzyło się coś takiego co zupełnie zmieni zobopólne położenie ich obojga.

Nad ranem chora nie czuła się bynajmniej lepiej; Ludwik niespokojny posłał po doktora Rameau de Ferrières. Obawa, że nie będzie mogła dłużej karmić dziecięcia, potęgowała jeszcze cierpienia i niepokój młodej kobiety. Rozpacz ją ogarniała na samą myśl, że wśród grożących jej walk moralnych, zmuszoną będzie wyrzec się tej jedynej pociechy i powierzyć rozkoszną dziecinę staraniom obcej kobiety. W gorączkowych marzeniach widziała nietylko porzucającego ją męża, ale jeszcze oddalające się od niej dziecię. Około godziny trzeciej rano wpadła w malignę i zaczęła bredzić głośno.

— Jeśli oddadzą mojego małego Piotrusia tej niegodziwej kobiecie, dziecina umrze z pewnością— powtarzała uparcie.

Babcia, która z nieśmiertelną swoją pończochą siedziała przy kominku, słysząc te słowa podniosła się z fotela, podeszła do łóżka i pochyliwszy się nad Heleną, rzekła uspakajająco:

— Nie martw się moja droga... Jeśli ty będziesz chora, ja zajmę się dziecięciem, żadnej obej kobiecie nie powierzyłabym Piotrusia.

Słaby uśmiech przemknął po ustach młodej kobiety, a oczy jej gorączkowym zapłonęły blaskiem; westchnęła i szepnąwszy kilka niezrozumiałych wyrazów, zasnęła. Było już późno, skoro się obudziła i wezwany doktor rozmawiał już z Ludwikiem w sąsiednim salonie. Wszedłszy do pokoju chorej, wstrząsnął swą lwią grzywą i rzekł zbliżając się do łóżka:

— Jakto, droga pani, jesteś tak nierozważną, że aż mojej potrzebujesz pomocy?... No, zobaczymy co to jest takiego.

Ujął jej rękę i licząc uderzenia pulsu, wpatrywał się w jej oczy, potem zmierzył termometrem temperaturę ciała i z wracając się do starszej pani Hérault, dodał:

— Nie widzę tu nic groźnego... Ale mamy więcej niż trzydzieści dziewięć stopni ciepła, to trochę za dużo.

Następnie oddalił się w przeciwległy róg pokoju i szepnął nieznacznie staruszce:

— O mały włos, że nie dostała zapalenia mózgu... Źrenice są jeszcze bardzo rozszerzone... Jedynem dla niej lekarstwem spokój i unikanie wszelkich wzruszeń...

Widząc, że Helena niespokojnie poruszyła się na łóżku, przysunął się do niej.

— Chciałbym teraz widzieć dziecię naszej pięknej chorej — rzekł żartobliwie.

Przyniesiono małego Piotrusia, pulchnego i zarumienionego jak pączek róży. Dziecię uśmiechnęło się do doktora, który wziąwszy je na rękę, obejrzał troskliwie, popieścił i odpowiadając na nieme zapytanie, malujące się w trwożnym wzroku Heleny, rzekł:

— Tego zucha można bez obawy odłączyć od piersi!... Prawda, że to trochę może zawcześnie, ale chłopiec jest zdrów i silny i zniesie to z łatwością. Wolę, aby się żywił mlekiem krowiem, niż żeby mu teraz dawać inną mamkę... Czy pani podoba się mój projekt?

Helena podziękowała mu słabem poruszeniem głowy; dwie łzy stoczyły się zwolna po jej licach i spadły na batystową poszewkę.

— Nie należy dłużej męczyć chorej — rzekł wtedy doktor, zwracając się do Ludwika. Przejdę teraz do pokoju pana, aby tam swobodnie napisać receptę.

Gdy wyszli, sędziwa pani Hérault nie wzywając niczyjej rady ani pomocy, wtoczyła kolebkę małego Piotrusia do pokoju młodej matki i ustawiła ją nieopodal okna, tak aby Helena mogła ją widzieć z łóżka. Helena wdzięcznem spojrzeniem podziękowała babci, chciała mówić, ale nieoceniona sta-

ruszka położywszy palce na ustach, nakazała jej milczenie. Poczem usiadła i zabrała się znów do roboty.

Ludwik nie wyszedł wcale z domu i co godzina dowiadywał się o zdrowie żony. Zrana tylko pojechał po Emilię, która przybyła natychmiast, powitana z radością przez Helenę. Zdawało się, że obok tych dwóch opiekuńczych aniołów, babki i przyjaciółki, młoda kobieta troszkę odzyskiwała siły. Pod wieczór jednakże gorączka się wzmogła i należało obawiać się bardzo niespokojnej nocy. Rameau zajrzał jeszcze raz wieczorem, przepisał jakieś uspokajające lekarstwo i sam przyrządził napój, który miał sprowadzić sen chorej. Raz jeszcze upewnił, że nie ma niebezpieczeństwa, gdyż silna natura Heleny mogła zwycięzko opierać się cierpieniu.

Emilia zamieszkała tymczasowo w pałacyku Hérault, aby wspólnie z babcią pielęgnować Helenę. Zjadła obiad z Ludwikiem, który błąkał się jak dusza pokutująca po pustych komnatach. Nie chciał iść do pani Olifaunt i nie otrzymał od niej ani słówka wyjaśnienia. Głuchy gniew wrzał w jego piersiach, gdy zastanowił się nad chorobą żony i zaniedbaniem kochanki; żeby też choć zatroszczyła się o niego! Wyrzucał sobie, że myśli jeszcze o Diannie a pomimo to wyobraźnia jego natrętnie zwracała się ku pięknej Angielce. Urocza, złotowłosa postać zjawiała się ciągle przed nim, wabiąc go słodkim głosem i całą potęgą w pełni rozwiniętych wdzięków.

Obecność Emilii stała się dlań prawdziwą ulgą. Najpierw dowiedział się od niej o przykrej scenie, jaka miała miejsce między dwoma kobietami, a powtóre mógł z nią swobodnie rozmawiać o Diannie. Sprawiało mu to boleść i rozkosz zarazem, przeklinał Diannę i przysięgał, że nigdy już jej nie zobaczy. Wieczorem siedząc z Emilią w małym saloniku przylegającym do sypialni Heleny, zwierzał jej się ze swoich cierpień, przynosząc tym sposobem ulgę zbolałemu sercu.

— Niech będzie przeklęty dzień w którym uległem wpływowi tej niebezpiecznej istoty—mówił.— Nie wiesz Emilio do jakiego stopnia ona potrafi być śmiałą i obłudną... Znam ją już teraz doskonale! To wcielona przewrotność!

— I to właśnie podoba wam się w niej najlepiej — odpowiedziała Emilia — ona stanowi zupełną sprzeczność z waszemi siostrami i żonami, które są skromne, szlachetne i dobre, ale skromność, czystość i dobroć to najpospolitsze i bynajmniej niegodne uwielbienia cnoty. Nie ma w tem nic zabawnego... Dla was potrzeba koniecznie lekkomyślnych wietrznic!

— Ta kobieta nie ma serca — podchwycił Ludwik z wściekłością — z okrutną obojętnością igra z cierpieniem ludzkiem, rozkoszując się widokiem bólu jakiego stała się przyczyną. Wie ona dobrze co za trwoga miota mną od rana i że dałbym nie wiedzieć co za to, aby odgadnąć co ona robi, co myśli, jaki plan postępowania nakreśliła sobie po wczorajszem zdarzeniu? Ale ją nie wzruszą podobne drobnostki, może już nawet nie pamięta o mnie, chociaż ja dla niej poświęciłem najlepszą, najpowabniejszą z kobiet... Przysiągłbym, że ani jej w głowie troska, zapewne śmieje się i bawi jak zwzkle! Szkaradna niewdzięcznica, nie napisała do mnie ani słówka!

— I ma zupełną słuszność. Takie kobiety obojętnością przykuwają was do siebie, gdyby się z wami nie obchodziły jak z psami, nie garnęlibyście się do nich!... Dianna jest zręczniejszą od innych, umie niewolić was chłodem tak jak pogromca dzikich zwierząt poskramia te ostatnie rozpalonem żelazem. Oskarżasz Diannę, że jest okrutna i niewdzięczna, a ty czy nie jesteś także okrutny i niewdzięczny? Udręczenia jakie cierpisz przez Diannę, sowicie oddałeś Helenie. Dianna odgrywa w tym razie rolę karzącej sprawiedliwości; miłość dla niej, to pokuta! A jeszcze mówimy o Diannie młodej i ładnej, gdyż bez zaprzeczenia jest ona nadzwyczaj powabną i ta łagodząca okoliczność usprawiedliwia twoje szaleństwo w obec świata, ale wyobraź sobie Diannę starą i brzydką, związaną z kimś nierozerwalnemi węzły. Aż dreszcz przenika mnie na samą myśl, że ty mógłbyś się znaleźć w podobnem położeniu. Nawet cierpliwość twej żony w końcu wyczerpać się może a wtedy zażąda ona z pewnością seperacyi, ty zaś na wieki zostaniesz niewolnikiem przewrotnej Angielki i będziesz popijał porto i grywał w bezika z sir James! Czy taka przyszłość nęci cię ku sobie? Nie, bezwątpienia! A więc kochany przyjacielu, raz przecie dowiedź, że nie jesteś głupcem i zapomnij o twej szczerej przyjaciółce, która, przysięgam ci, nietylko ciebie obdarza tak serdecznemi dowodami przyjaźni i stań się napowrót uczciwym człowiekiem!

— Tak być musi, przysięgam ci na Boga! — zawołał Ludwik z zapałem.

— Nie przysięgaj Ludwiku, to zły znak... Uczyń to cicho i skromnie... Ale ja ci nie wierzę, bo wiem aż nadto dobrze, że jeżeli jutro lub pojutrze odbierzesz liścik od Dianny, w niwecz pójdą wszystkie wzniosłe postanowienia poprawy życia!

Na tem skończyła się rozmowa, gdyż Emilia podążyła zastąpić panią Hérault u wezgłowia Heleny. Połowa nocy przeszła jako tako spokojnie i Emilia znużona zdrzemnęła się trochę na szezlongu, gdy około drugiej po północy, zbudził ją głos chorej. Zerwała się na równe nogi i przy bladem świetle nocnej lampki, ujrzała nawpół siedzącą Helenę, która utkwiwszy błędny wzrok w przestrzeń, mówiła głośno do siebie. Emilia uścisnęła rękę przyjaciółki. Zdawało się, że młoda kobieta odzyskała na chwilę przytomność i tak dalej skarżyła się boleśnie:

— Gdybym umarła on zmusiłby tę kobietę, aby porzuciła męża i ożeniłby się z nią. Ona zajęłaby moje miejsce przy domowem ognisku, mieszkałaby w moim pokoju, moje dziecię byłoby jej dziecięciem. Jak ona spoglądała na niego w kościele!... Jakby mi go chciała ukraść!... Wszystko co do mnie należy, stałoby się jej własnością... a po mnie zostałoby jedyne blade, niejasne wspomnienie i dwa nieznaczne wyrazy wyryte na kamiennym grobowcu... Ah! jak mi ciężko i duszno!...

I chora ciężko opadła na poduszki, a grube krople potu wystąpiły jej na czoło. Emilia pochyliła się ku niej i pieszczotliwie pogładziła biedną, zbolałą głowę, chcąc tym sposobem uspokoić nieco chorą.

— Nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo, Heleno — rzekła łagodnie — żyć będziesz dlatego, aby być szczęśliwą.

— Tak, żyć będę — powtórzyła z mocą młoda kobieta, ja chcę żyć, abym mogła bronić tych, których kocham!

Kilka razy powtórzyła jeszcze: „ja tak chcę”, jak gdyby wśród gorączkowych majaczeń to jedno słowo streszczające cały jej charakter, przedstawiało się jasno w jej umyśle. Pod współczującem wejrzeniem Emilii, chora uspokoiła się i zasnęła. Nazajutrz doktor znalazł ją wiele lepiej, gorączka zmniejszyła się znacznie i wszystko zdawało się wróżyć rychłe wyzdrowienie.

Ludwik także mniej już był rozdrażnionym. Posiedział trochę w pokoju żony i okazywał jej serdeczną troskliwość. Helena ze smutną radością przyjmowała oznaki jego przywiązania, biedna, nie mogła teraz z tkliwą otwartością poddać się porywom swego szlachetnego serca. Zawsze pomiędzy nią a mężem zjawiać się będzie postać Dianny! Pomimo jednak tych bolesnych myśli nie odepchnęła Ludwika od siebie, nieznacznie tylko skinęła na Emilię, aby pod jakim pozorem uprowadziła go z pokoju.

Przedewszystkiem chciała się zastanowić i ułożyć sobie plan postępowania. Odzyskawszy trochę sił, ze zwykłym sobie rozsądkiem myślała bez gniewu w jaki sposób wyjść z bolesnego położenia. Ludwik ciągle okazywał jej troskliwość i Helena pocieszała się, mówiąc sobie z pobłażliwą wyrozumiałością, że byłoby gorzej, gdyby mąż był zupełnie obojętnym. Przywykła z dobrej strony zapatrywać się na wszystko, nie przeklinała życia, chociaż przekonała się nieraz, że ono nie z samych składa się uśmiechów.

Pomimo wszystkich przykrości nie mogła się jeszcze nazwać nieszczęśliwą skoro miała taką nieocenioną babunię, wierną przyjaciółkę i ukochane dziecię. Dziękowała gorąco Bogu, że zsyłał jej tyle pociechy i z ufnością zaczęła myśléć o przyszłości.

Teraz rozumiała doskonale usposobienie moralne i umysłowe swego męża; słabość i niestałość jego charakteru nie była wcale dla niej tajemnicą, ale mniemała, że taki wpływ nad nim posiada, że kierować nim zdoła z łatwością. Omyliła się jednak, inna zręczniejsza od niej kobieta zawładnęła umysłem opornego dla niej człowieka i prowadziła go na bezdroża. Wpływ jej był widać potężny, skoro Ludwik nie cofnął się nawet przed ohydą kłamstwa i zdrady. Obawa podejrzeń i słusznej obrazy żony, nie wywoływała rumieńca wstydu na jego czoło i nie powstrzymała go na drodze występku. Widać, że w sercu jego szerzyła się już gangrena, którą rozpalonem należało leczyć żelazem.

Helena ani przez chwilę nie myślała pogodzić się z przeznaczeniem i z pokorą męczonej ofiary znosić swój los okropny. Nie chciała bez walki ustąpić praw małżonki kochance.

— Nieszczęście moje nie jest wyjątkiem—mówiła sobie w duszy — i nie powinnam też poddawać się rozpaczy. Mężczyzni wszyscy są słabi i dają się powodować namiętnościom a Ludwik z pewnością nie jest gorszym od innych. Na świecie więcej jest ludzi złych jak dobrych, ale czy dlatego należy wyrzec się wiary w istnienie dobra i piękna? Jestem pewna, że przy cierpliwości, energii i pobłażliwości zdołam biednego Ludwika wyciągnąć z tej kałuży, w którą dostał się dobrowolnie.

Zgodnie z raz powziętem postanowieniem, nie powiedziała mężowi o swej pamiętnej rozmowie z panią Olifaunt i nie okazała mu niczem, że wie o jego postępowaniu. Wszelkie gwałtowne sceny przejmowały ją wstrętem, czekała też cierpliwie, aby okoliczności same nastręczyły jej sposobność do wyrażenia swych uczuć i rozpoczęcia walki, która powinna była skończyć się ostateczną porażką jej rywalki lub też niej samej.

Uspokojona nieco moralnie, młoda kobieta szybko odzyskiwała siły, tak że po tygodniu uważać się już mogła za rekonwalescentkę. Cały ten czas Ludwik nie wychodził z domu, okazując się ciągle jednako łagodnym i uprzejmym względem żony. Kwaśny z początku humor ustąpił miejsca spokoj-

nej wesołości, która bardzo miłego czyniła zeń towarzysza. Korzystną tę zmianę Helena przypisywała radości spowodowanej szybkiem jej wyzdrowieniem, gdyby jednak mogła jasno czytać w sercu swego męża, rumieniec wstydu oblałby z pewnością jej lica.

Po dwudziestuczterech godzinach rozpaczliwego oczekiwania, Ludwik odebrał wreszcie słów kilka od Dianny, która dziwiła się i czyniła mu wyrzuty, że nie widziała'go od wieczoru u Lereboulleya. Liścik ten uspokoił nieco gniew Ludwika, pomimo to odpowiedział oschle Diannie, że służyć jej nie może, gdyż żona jego jest bardzo chora. Wtedy Dianna zaczęła zarzucać go czułemi listami, pragnąc koniecznie zmusić go do przyjścia choćby tylko na krótką chwilę. Przewrotna kobieta znała moc swoich wdzięków i dobrze wiedziała, że skoro tylko zobaczy Ludwika, potrafi usidlić go na nowo. Ale Ludwik ze zręczną przebiegłością opierał się prośbom i rozkazom pani Olifaunt i śmiejąc się z zapału z jakim go ścigała, trzymał się zdala od wpływu jej wdzięków i wybuchów gniewu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 Listopada 1888 roku.

Nie poskarżymy się dziś o brak wątku do korespondencyi naszej. Po wielkich magazynach powtarzają się coraz nowe wystawy, to jedwabnych materyi i wełnianych tkanin, to gotowych sukien kostyumów i okrywek.

Z materyi jedwabnych najmodniejszy aksamit gładki, mora, *peau de soie, faille, armure* i *Radzimir*, rodzaj rypsu w drobne poprzeczne prążki. Używany też pekin w paski tegoż samego koloru, morowe na atłasie, na *faille* i t. p.

Kolory jak już mówiliśmy, mają wszystkie jakiś ton mieszaniny, jedna barwa zachodzi w drugą. Oto cały szereg powszechnie dziś przyjętych: *rezeda* (szaro zielonkowaty), *Serpent* (dziko popielaty), *Terra cotta, bleu pigeon*, (błękitno popielaty jak piórka gołębie), *bleu marin* (jasno granatowy), ciemno pąsowy, *bois de rose* (odcień gałązek róży), wreszcie zielony w rozmaitych odmianach: *vert bouteille, vert absinte, vert myrthe* i t. p.

W formie sukien ta zaszła głównie zmiana, że draperye w wielkiej części usunięte, przody spadają prosto, turniury bardzo małe, wspominaliśmy o tem w poprzedniem sprawozdaniu, dodajmy tylko, że ta moda zupełnie się dziś upowszechniła. Do ubrania sukien używają wszelkiego rodzaju galonów, haftów i pasmanteryi, mieszają też tkaniny wełniane z materyą jedwabną, tegoż samego, a nawet odmiennego koloru.

Kapelusze zimowe mają zawsze formę piramidalną. Wielkość ich rozmaita, stosownie do gustu, do twarzy, albo do wzrostu osób. Przybierają zarówno kapotki jak i okrągłe kapelusze, pękiem piór strósich i kokami ze wstążek.

Mamy właśnie przed oczami piękny dobór kapeluszy, nabytych przez panie Kuhnke na model u pierwszych modniarek tutejszych, dajemy szczegółowy ich opis.

Kapotka z magazynu pani Reboul, aksamitna koloru *bois de rose* (gałązek różanych), kilka plis ułożonych nad czołem, tworzy ładny dyadem. Na to idzie upięcie aksamitne, zarzucone na główkę, nad brzegiem naszyty złoty galon, zahaftowany jedwabiem tegoż koloru jak aksamit. Upięcie to przyfałdowane w tyle główki, ztąd idzie wielka kokarda, złożona z długich pukli, z pośrodka wybiega egretka z czaplich piórek. Wszystko i aksamit i wstążki i piórka, w jednym kolorze *bois de rose*.

Druga kapotka czarna od pani Parisot, ułożona fantastycznie ze skosów aksamitnych, od brzegu do środka podniesionych, z pomiędzy tych wygląda przymarszczona koronka złota. Osobne części aksamitu, pospinane złotemi szpilkami. Z lewego boku pęczek strósich piór czarnych upięty wysoko. Szarfy ze wstążki czarnej *faille*.

Trzecia kapotka do częstszego użytku, z sukienka granatowego, przód cały ułożony z sukna i wstążki aksamitnej czarnej. Kokarda z sukna upięta z lewego boku, stanowi całą ozdobę. Szarfy do wiązania czarne aksamitne.

Kapelusiki okrągłe, mają w ogólności główkę dość nizką, rondo mniej lub więcej naprzód wysunięte. Wszystkie kastorowe, w kolorach czarnym, szafirowym i ciemno pąsowym. Najstrojniejszy z nich *Letycya*, z kastoru ciemno pąsowego, rondko znacznie wysunięte naprzód, objęte brzegiem czarną wstążką; takaż wstążka opasana wkoło główki. Od tyłu wpięta kokarda czarna, złożona z wielkich koków, zawraca się naprzód, z pośród niej wybiega wiązka pąsowych piórek strósich, zostawione w nich oczka w naturalnym kolorze.

Drugi kapelusik niemniej strojny, zwany Miss Ada, w kolorze granatowym, ma rondo podniesione z lewego boku, ztąd przechodzi na wierzch główki długie strósie pióro, takież pióro idzie od tyłu, końce ich schodzą się po nad rondem, na główce upięte cztery pukle ze wstążki morowej, dwa spadają do tyłu, dwa zachodzą naprzód, w środku przewiązana rzęsista kokarda.

Trzeci kapelusik czarny kastorowy, główka nizka, rondo wysunięte. Po nad rondem, na dwa palce od brzegu, naszyty płasko aksamit pąsowy, podbicie z aksamitu czarnego. Główka przybrana w aksamitne pukle czarne i pąsowe. Od lewego boku wpięty bukiet z pięciu czarnych piór strósich.

Czwarty kapelusik do wyjścia na rano, kastorowy koloru *Hawana*, całą ozdobę stanowi ogromna kokarda z materyi surah tegoż koloru.

Dodajmy tu ogólną uwagę, że kapelusiki kolorowe ubierają najczęściej czarną wstążką, lub czarnym aksamitem, czarne zaś wstążką lub aksamitem kolorowym.

Przejdźmy teraz do okrywek nabytych na model do magazynu. Są między niemi długie płaszcze zwane rotondy, długie paletoty i krótkie wizytki. Dajemy tu szczegółowy ich opis.

Długi płaszcz z ciemno granatowego sukienka, plecy odcinane, zakończone w stanie pasmanteryą z grelotkami. Poniżej stanu spadają tylne bryty, mocno przymarszczone, sięgające do samej ziemi. Przody płaskie zapięte na rzęd guzików. Od ramion spuszczają się długie do ziemi poły, objęte z przodu czarnym marabutem, u szyi kołnierz z marabutu. Cały płaszcz podbity atłasem czarnym, miejsce waty zastępuje puch edredonowy, bardzo lekki i ciepły.

Druga wizytka pluszowa czarna, podbita atłasem, plecy wcięte do figury, z przodu spadają długie końce. Rękawy zwężone u ręki. Przody ogarnirowane marabutem zarówno jak kołnierz i mankiety.

Trzeci paletot długi, jasno granatowy z miękkiej wełnianej tkaniny. Plecy przystają zupełnie do figury, przody puszczone wolno, objęte astrachanowym barankiem. Z pod pleców wybiegają tylne bryty, ułożone w dwie wielkie kontrafałdy, przytwierdzone pasmanteryą. Na przodzie dany jakoby krótki kaftanik naszamerowany pletnią w długie zęby. Rękawy wązkie, objęte astrachanem, takiż sam kołnierz. Podbicie czarne atłasowe, edredon w miejsce waty.

Panie Kuhnke wyprawiły prosto ztąd do Odesy parę bardzo ładnych kostyumów wizytowych. Jeden z nich wykonany u Handernara, składa się z sukienka i materyi jedwabnej *faille*, w kolorze *serpent* (wężowym). Spódniczka jedwabna: wzdłuż przedniego jej brytu naszyty pas sukienny wązki na kilka cali; po za nim z obu stron idą dwie głębokie zakłady z materyi jedwabnej, zwrócone do środka, schodzące się w górze. Od tych fałdów dokoła spódnicy dany wolant z jedwabnej materyi, marszczony, szerokości pięćdziesięciu centimetrów. Na to idzie tak zwany *redingotte*, z sukienka i materyi.

Przednie poły sukienne rozchodzą się szeroko i sięgają do ziemi.

Stanik składa się z trzech części: plecy i boczki są sukienne, przody z materyi jedwabnej, otwarte w górze, z rozchodzącemi się klapami i wyłożonym kołnierzem, spięte poniżej na dwa rzędy metalowych guzików, pod to podłożony znów plastron sukienny, z takąż opaską do koła szyi. Od pleców spadają na dół trzy bryty materyi mocno nafałdowane, przytwierdzone w stanie pasmanteryą z długiemi grelotkami. Rękawy sukienne, u ramienia przybrane materyą; od ręki do łokcia naszyta pasmanterya.

Drugi kostyum z szewiotu w kolorze ciemnym *bois de rose*. Spódnica od przodu do boków ułożona w fałdy zaprasowane mocno i przestębnowane na łokieć od ziemi. Tylne bryty spadają wolno przymarszczone do pleców.

Stanik ma przody otwarte, z odwiniętemi klapkami, przybrane złotym galonem. Pod spód idzie kamizelka morowa tegoż koloru. Boki stanika wcięte, od pleców spadają dwie długie klapy, zaprasowane w kontrafałdy, sięgają do dołu spódniczki.

W miarę wzmagającego się zimna, *boa* coraz to więcej używane. Do najmodniejszych należą z piórek strósich w kolorze naturalnym.

S. D.

Okrycia i futra.

Zima coraz groźniej zapowiada swoje niepożądane przyjście, co zniewoli do porzucenia okryć lżejszych a przywdziania futrzanych; dla wygody Czytelniczek Tygodnika Mód, podajemy opis okryć i kaftaników, jakie oglądaliśmy w wielkim składzie futer pp. Bober i Kowalski.

Zaczynamy od bardzo pięknych, ale i bardzo drogich, jak każdy zbytek.

Długie okrycie czarne z jedwabnego pluszu, z tyłu w kształcie wcinanego paltota, przody formą rotundy. Dokoła oszyty czarnemi szopami; z przodu, po za oszyciem szopowem, bardzo szeroki słup naszyty w deseń czarną jedwabną pletnią, wązką i nieco szerszą, tak ułożony, iż przedstawia się jakby bogaty haft wypukły; takież dwa słupy po bokach i na środku, począwszy od pleców całkiem prawie pokrytych naszyciem pletnią; lekko watowany, na pikowanej czarnej atłasowej podszewce. Cena 200 rs.

Takież samo okrycie z szafirowego jedwabnego pluszu, naszywane pletnią jak powyższe, oszyte czarnemi marabutami; watowane, na jedwabnej podszewcze z materyi szkockiej w drobną kratę. Cena 200 rs.

Długi paltot, wierzch czarny wełniany, z materyi zwanej *Merado*, przerabianej w pasy; cały podszyty popielicami, obłożony czarnym futrem. Cena 85 rs.

Kaftanik *velour frappé*, podszyty popielicami, obłożony *loutre*, 60 rs.

Kaftanik czarny wełniany, podszyty piżmowcami, obłożony naśladowaniem *loutre*, 40 rs. Kortowy, podszyty piżmowcami, obłożony futrem oposum, 45 rs. Kortowy, podszyty popielicami, obłożony modną bardzo imitacyą bobrów, 40 rs.

Ceny futer w błamach, stosownie do gatunku i rodzaju.

Błam lisów od 50 do 140 rs. Lisy czarno bure 150 do 300 rs.

Błam białych tybetańskich baranów, od 100 rs. Tumaki znów wróciły do mody, ale tylko do podszywania paltotów, błam od 240 do 400 rs. Muflety, świecące, czarne z białem, stosowne do żałoby, błam 85 rs.

Tak modne od roku boa; czarne, z marabut 18 rs. Czarne z loutre 25 rs. Białe z baranów tybetańskich 25 rs. Tańsze są farbowane i smolą.

Mufka podszyta białem futrem i kołnierz z bobrów kamczackich, od 100 rs. Mufka i kołnierz rysie, od 30 rs. Mufka i kołnierz z rakunów, od 15 rs. Garnitury z tańszych futer, od 8 rs.

Możemy zalecić ładne bardzo czapeczki z loutre, przybrane piórami strusiemi, od 9 do 10 rs, lub z foki, przybrane pięknym ptaszkiem, od 6 do 7 rs.

Modne obecnie krawaty futrzane, otaczające szyję i spięte na klamrę srebrną, od 6 rs. stosownie do rodzaju futra.

Do podszycia kaftanika, wystarcza pół błama.

WIADOMOŚCI
Z RÓŻNYCH STRON.

Z Kutaisu donoszą do „Prawitiel. Wiestnika” pod d. 24 b. m.: Pociąg Ich Cesarskich Mości zatrzymał się na stacyi Elizawetpolskiej 20 minut. Tu Najjaśniejsi państwo wyszli z wagonu. Naczelnik gubernii, generał-major ks. Nakaszidze, prezydent miasta i inne osoby powitały Ich Cesarskie Mości.

Peron przedstawiał rodzaj ogrodu, około wodociągu urządzone było wzgórze, pokryte dywanami, na którem stopniami ustawiono dzieci, ubrane w koszule i odzienie kolorów narodowych: białe, niebieskie i czerwone. Dzieci wyobrażały żywą cyfrę Najjaśniejszego Pana, przeplecioną cyfrą z kwiatów Najjaśniejszej Pani. Trójkąt w cyfrze Najjaśniejszego Pana stanowiły trzy dziewczynki w sukienkach trójbarwnych. Przy pojawieniu się Najjaśniejszych Państwa, orkiestra wykonała hymn narodowy ruski.

Wewnątrz dworca w pokojach Ich Cesarskich Mości, urządzona była wystawa produktów gubernii. Najjaśniejsi Państwo oglądali wystawę w asystencyi gubernatora, który udzielał objaśnień. Następnie przedstawiała się deputacya miejska i z gubernii, przyczem prezydent miasta podał Najjaśniejszemu Panu chleb i sól na starożytnej tacy rzeźbionej.

Hanowa karabachska przedstawiła się Ich Cesarskim Mościom w swym kostyumie narodowym, ze złotą wstęgą na głowie, przepiętą wielką agrafą z dużych drogich kamieni. Hanowa złożyła Najjaśniejszemu Panu przepyszny dywan, Najjaśniejszej Pani narzutkę wyszywaną złotem, Cesarzewiczowi Następcy tronu okrycie wełniane. Szkoła Michajłowska wręczyła Najjaśniejszemu Panu grotę, złożoną z miejscowych minerałów. Najjaśniejszej Pani podano poduszkę z czerwonego aksamitu, z wyszytą cyfrą w wieńcu z liści dębowych i laurowych.

Około stacyi zebrały się tłumy ludności. Gdy Najjaśniejsi Państwo siedli do wagonu, rozległo się niemilknące: „hura!”

Ruch handlowy i przemysłowy, rozwijać się coraz więcej u nas zaczyna, co z prawdziwą radością w piśmie naszem naznaczamy. Dawniej praca na wzór chińskiej społeczności, dzieliła się na klasy, niby na szczeble drabiny, której najwyższy zajmowali rozkosznisie, tłumy posiadający na swe usługi. Dziś już inaczej.

W pojęciach wielka nastąpiła zmiana, przejrzeliśmy i nie ma wątpliwości, że z tej krzątaniny w dziedzinie dotąd zaniedbanej, pomyślność na całą spłynie społeczność, niby rosa niebios na rolę suszą spaloną.

W tym kierunku idźmy dalej wytrwale i cierpliwie, a przyszłość błogosławić będzie przeszłości.

Od niejakiego czasu wyroby naszego przemysłu przedzierają się aż po za Atlantyk, czego dowodem są coraz częstsze wzmianki w dziennikach amerykańskich, a głównie w gazecie nowojorskiej „American-Mail et Export Journal”.

W ostatnim numerze tego pisma znajdujemy notatkę o wyrobach fabryki grzebieni i guzików z masy perłowej hr. Krasińskiego, które są wysyłane do Ameryki i znajdują tam pole zbytu.

W tym samym dzienniku spotykamy także ogłoszenie tutejszej fabryki grzebieni, poszukującej w Ameryce ajentów do sprzedaży swoich wyrobów.

W innym znowu artykule wspomnianej gazety, czytamy dane statystyczne o konsumcyi wyrobów tabacznych całego świata.

W spisie fabryk pomieszczono tu kilka firm z Królestwa Polskiego, a najbardziej reklamowaną jest jedna z fabryk warszawskich, która zatrudnia przeszło 300 robotników, wyrabiających rocznie około 20 milionów cygar w cenie od 1 do 50 kop. sztuka.

Wyroby owej fabryki są rozpowszechnione i w Ameryce, a możność tak dalekiej konkurencyi zawdzięcza fabryka, według cytowanej gazety, taniości materyałów surowych i siły roboczej.

W innym znów numerze znajdujemy nieobojętną dla nas wiadomość, że firmy amerykańskie zaczynają komunikować się bezpośrednio z domami tutejszemi, pomijając ajentów w Bremie, Hamburgu i Amsterdamie.

Wszystko to są wskazówki, wielce pocieszające.

Z wywozem jednak mięsa za granicę nie tak idzie pomyślnie jak się na to zanosiło, a jakkolwiek projekt w tym celu zawiązania towarzystwa akcyjnego, nie przyszedł do skutku, jednak spółka złożona z czterech osób, przez rok cały wysyłała wędliny do Paryża i wychodziła na swoje. Dopiero w ostatnich tygodniach z powodu podniesienia się kursu rubla, straciła kilka tysięcy rubli. Interesu wszakże spółka nie zwija i ceny wędlin na targu paryzkim nie podnosi, ażeby nie zerwać stosunków handlowych. Spółka utrzymuje w Paryżu cztery sklepy do sprzedaży częściowej. Do spółki tej należą pp. Czerski obywatel z gubernii lubelskiej, Adamowicz z gubernii piotrkowskiej, Gostkowski i Misiewicz z Warszawy. W tym tygodniu wysłano nowy transport wędlin do Paryża.

Mimo jednak wytrwałości Spółki w prowadzeniu całego interesu jest jakaś wada.

Korzyści bowiem sam interes przynosić powinien a nizki kurs rubla tylko je powiększać. Jeżeli zaś wszystko opiera się na kursie gnębiąco działającym na stosunki nasze handlowe zagraniczne, to interes wart niewiele i albo padnie bez ratunku albo umiejętniej prowadzony będzie.

Nasze szwalnie dla ubogich dziewcząt. Hr. Wiktorowa Ronikierowa, małżonka naczelnego opiekuna szwalni przy ulicy Starej, w zabudowaniach podominikańskich, zamierza urządzić sklep własny z przeznaczeniem całego dochodu na dalszą budowę gmachu szwalni.

Budowla ta dzięki nieustannym gorliwym zabiegom hr. Wiktora Ronikiera, doprowadzoną została w r. b. aż pod dach; mury więc stoją, lecz dużo jeszcze pozostaje do zrobienia, a może być zrobione jedynie przy pomocy ofiarności publicznej, gdyż innego funduszu nie ma.

Niedawno w jednym z salonów tutejszych dla uczczenia imienin pana domu grano teatr amatorski złożony z dwóch komedyjek.

Pierwsza z nich „Złoty cielec” zaznaczyła się wcale nieoczekiwanym epilogiem.

Kiedy sceniczny Rosenblat zezwala nareszcie na małżeństwo swej córki Emmy, z buchalterem Ludwikiem, amatorzy grający rolę kochanków, zstępują z zaimprowizowanej sceny i podszedłszy do solenizanta, klękają przed nim.

Sceniczna Emcia, a córka gospodarza domu, powiada:

— I ty nam ojcze prawdziwy pobłogosław i przyjmij mego ukochanego za zięcia.

Pan X. przeciwny był konkurom młodzieńca, lecz wszyscy obecni otoczyli solenizanta, gorąco się wstawiając za młodą parą.

Amator grający Rosenblata, również zeszedł ze sceny i serdecznie wszystkich ubawił, wykrzykując:

— Jeżeli ja, czciciel „Złotego cielca”, zdecydowałem się wydać córkę za biednego kantorzystę, nie bądź i pan okrutnym...

Wobec podobnego nacisku pan X. pobłogosławił parze narzeczonych.

Jak się później okazało, cała ta scena była obmyślona przez samą pannę, nadzwyczaj energiczną i przedsiębiorczą osóbkę.

Znakomita tragiczka francuzka Sara Bernhardt, na ostatnią, jak zapewnia, wycieczkę artystyczną, mającą się wkrótce rozpocząć, przygotowała sobie cały szereg nowych tualet, które w zachwyt niechybnie wprawią piękniejszą połowę rodu ludzkiego. Figaro podaje dokładny a szczegółowy opis tych poematów, złożonych z tiunik, falban, staników, galonów i t. p., i zapewnia, że stanowić one będą nową erę w dziedzinie mody. Między innemi do Adryanny Lecouvreur, kazała sobie pani Sara sporządzić kostyum Roxany, złożony z obszernej, fałdzistej, różowej atłasowej koszuli, haftowanej w złote arabeski i zasianej prawdziwemi turkusami. Na tę koszulę przywdzieje artystka płaszcz z ciężkiej wschodniej materyi jedwabnej, oszyty różnobarwną frendzlą sznelową i srebrnemi chwastami a bramowany kosztownem futrem; oryginalnego kostyumu dopełnia turban ze złotogłowia, prawdziwych pereł, brylantów i strósich piór. Jako Fedra ukaże się artystka w starożytnej szacie z kremowego muślinu indyjskiego, haftowanego w złote liście wawrzynowe. Wreszcie arcydziełem sztuki krawieckiej ma być także tualeta balowa do Damy kameliowej.

Uwieńczona na konkursie piękności w Spaa, pani Betty Stuckart, debiutuje obecnie przed publicznością berlińską. Nie występuje ona wszakże, jako aktorka na scenie, lecz w cyklu żywych obrazów, w wielkich złotych ramach, mających 14 stóp średnicy, ukazuje się oczom spragnionej jej widoku publiczności, najpierw, jako swój własny portret á la Rembrandt, następnie jako Małgosia z Fausta, a w końcu, jako bogini kwiatów Flora. Łatwo sobie wyobrazić wrażenie, jakie robi w stolicy Niemiec nagrodzona piękność.

Cały szereg pierwszorzędnych malarzy, portrecistów i rysowników ubiega się o to, aby ją portretować. Pani Stuckart oświadczyła gotowość pozowania do wszelkich studyów artystycznych, ponieważ jednak niemożliwem dla niej jest odwiedzać pracownie wszystkich artystów, przeto naznaczyła u siebie w mieszkaniu godzinę od 11 do 12 na posiedzenia z panami malarzami. Trzeba przyznać, że jesto nowe i oryginalne.

Z Paryża donoszą nam: „Niestrudzona pracownica pędzla, Anna Bilińska, na wystawę pasteli w Londynie wysyła pięć kartonów, którym krytyka paryzka przyznaje wysoką wartość artystyczną. Od kilku lat zamieszkała w Nowym-Yorku malarka, panna Dziekońska, była uczenica paryzkiej Akademii Julieu'a, przyjechała tu, przywożąc z sobą kilka prac, które zyskały wielkie pochwały znawców. Rodaczka nasza niebawem powraca za ocean. Artysta-rzeźbiarz Pelczarski przeniósł się z Krakowa na stały pobyt do Paryża. Oczekiwany tu jest Henryk Siemiradzki, który przybędzie w celu obrania miejsca na wystawie powszechnej dla swego najnowszego, wielkich rozmiarów obrazu.

Wydawca do dzisiejszego literata:

— Pańska powieść tak sobie, ni grzeje ni ziębi, wydrukować ją mogę, ale pod warunkiem, że się pan zrzecze honoraryum.

— To już wolę zrzec się wydrukowania, ale honoraryum to chętnie przyjmę.

* * *

Także ogłoszenie! W jednej z gazet kolońskich czytamy:

„Wdowa, lat trzydzieści i kilka, zdrowa i pełna humoru, chętnie wyszłaby powtórnie za mąż. Nadmienia, że posiada jeszcze kompletną garderobę nieboszczyka (był 1 m. 68 cm. wysokim), ładne meble i 900 marek oszczędności. Kandydaci raczą i t. d."

Przy nadchodzącej zimie, nie jeden skusi się zapewne na tę... garderobę!

* * *

Rachunek adwokacki. Pewien adwokat bronił sprawy restauratora. Wygrawszy sprawę, adwokat przysłał swemu klijentowi rachunek, w którym między innemi figurowała pozycya:

„Za narażanie się na straszne skutki po spożyciu trzech obiadów w pańskim zakładzie tyle a tyle."

Klijent podobno przyjął ten rachunek.

* * *

Pewien właściciel menażeryi wydawał w tych dniach w Londynie zamąż córkę swoją, z zawodu poskromicielkę zwierząt. Oczywiście „lwia oblubienica" nie mogła poślubić mniej odważnego od siebie młodzieńca, stanęła więc przed ołtarzem z kolegą poskromicielem. Jako posag, ojciec panny młodej ofiarował cztery wspaniałe lwy; jeden z przyjaciół przysłał piękną panterę z Jawy, w mocnej klatce, ze względów ostrożności; drużba przyniósł w darze parę grzechotników, a brat panny młodej, pozbawionego sierci królika, który, jako okaz nader rzadki, wywołał śród znawców wielkie wrażenie. Trudno odmówić tym podarunkom ślubnym... dzikości.

* * *

W orkiestrze amatorskiej myli się pierwszy skrzypek i wyprzedza drugich o dwa takty. Dyrektor krzywi się i zasłania ucho z pół twarzą jak po wyrwaniu zęba i woła z gniewem:

— Panie, co pan gra? Jedziesz jak koń rozbiegany co wszystkich wyprzedza.

— Jadę — odpowiada skrzypek rozdrażniony — bo skrzypce moje własne nie cudze, to mogę na nich wygrywać co mi się podoba.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою, Варшава, 19 Октября 1888 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).